№ 2. 12. Stycznia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

POEZJA I POLITYKA.

(*O piśmiennictwie tendencyjném.*)

Poezja i polityka są dwie bratnie dziedziny w ludzkiém życiu, są to dwa słońca na niebie świata umysłowego.

Kto w te gwiazdy oko swe zwrócił, i ku nim polot swego ducha kieruje, ten wzniosł się nad poziom otaczającego świata — i znajdzie w owych dziedzinach tyle rozkoszy, że gardzi zwykłemi świata rozkoszami. Bo kto ducha swego zatopił albo w poezji albo w polityce, ten znajduje w każdéj z nich to, co stanowi istotę życia umysłowego.

Pomimo tego pokrewieństwa wszelako — poezja nie powinna być polityczną, ani polityka poetyczną.

Poezja jest tylko wtedy wielką i piękną, jest tylko wtedy prawdziwą poezją, jeżeli nie ma nic innego na celu, jak oddanie życia światowego lub ludzkiego, choćby tylko jednego momentu tegoż, w barwie natchnionego widzenia.

Celem poezji zatém jest uczynienie rzeczy zwyczajnych, — świata, człowieka, jego uczuć, myśli, czynów, — przedmiotem i materjałem artystycznéj czynności. I tylko taka poezja, która nam przedstawia dziwotworne tłumienie się uczuć, myśli i czynów ludzkich, działań przyrody i owych ogromnych wpływów, których nie możemy przypisać innéj, jak tylko nadludzkiéj sile, poezja która z tego układa obraz oświetlony przez pryzmat natchnienia, — jest prawdziwą poezją.

Jeżeli natchnienie poety jest zmyślone, jeżeli wzrok jego duchowy jest oślniony mgłą przesądów towarzyskich, przywidzeń stronniczych, fanatyzmu politycznego lub religijnego, wtedy utwory jego wszelki urok tracą.

Dla tego jeżeli z *miłosnych* pieśni poety dowiadujemy się jakie jest jego wyznanie *wiary politycznej*, jeżeli kto rozprawę przeciwko arystokracji lub demokracji ubiera w sukienkę powieści lub dramatu: wtedy popełnia ten sam błąd, jak gdyby w pieśniach religijnych rozwodził swoje żale miłosne.

A jednak tego ostatniego wyśmielibyśmy, może nawet pierwszego (t. j. tego któryby w pieśniach miłosnych składał wyznanie wiary politycznej) — tamte zaś rodzaje poezji, t. j. ubieranie polemiki politycznej w szatę poezji, uznajemy za rzecz potrzebną i doskonałą. —

Tymczasem poezja taka niema ani wartości poetycznej, ani politycznej; chce bowiem być razem poezją i polityczną rozprawą.

Poetycznej wartości niema, bo jest nadużyciem, poniżeniem najpiękniejszej strony życia ludzkiego, jako narzędzia do celów zupełnie jej cudzych.

Wreszcie jeżeli jest *piękną poezją*, wtedy niemoże być *dobrą polityką*, bo co tamta zyskuje na obrazowości i uczuciowości, to ta traci na głębokości i jasności wykładu.

Przeciwnie zaś, jeżeli jest dobrą rozprawą polityczną, wtedy jest złém dziełem poetyczném, bo pierwszej charakterem jest wykład zimny i rozumujący, poezja zaś rozumująca i zimna jest to samo, czém by był obraz złożony z samych geometrycznych figur.

Te zdania nie są naszém przywidzeniem, ale są one stwierdzone uczuciem wieków. Z poezji dawnej tylko to zyskało uznanie po wszystkie czasy, co niemiało na celu zbijania lub utrzymywania jakowych dogmatów lub zasad stronniczych, czyto religijnych czy politycznych. Wszelkie zaś utwory, które to miały na celu, tak zwane *tendencyj-*

ne, przemknęły przez dzieje bez śladu i pamięci: a jeżeli je gdzie znajdziemy, to tylko śmiech w nas wzbudzają. Tak naprzykład, owe dramata jezuickie wyrachowane na zbijanie kacerskich dogmatów.

Na tych zasadach się opierając — musimy zarzucać i ganić wszelki utwór poetyczny *tendencyjny;* czy to powieść, czy dramat, czy liryczny lub inny jaki utwor.

Z tego nie wynika, aby poeta, powieściarz lub w ogóle artysta, miał unikać w swych dziełach polityki, aby niewkładał osobom, które wprowadza, pewnych zasad politycznych w usta, nie szukał charakteru we wszystkich odcieniach stronnictw. Owszem walka zdań, zwycięztwo i upadek stronnictw, lub narodów są to najokwitsze źródła, z których artysta swoje przedmioty czerpać powinien. Lecz niechaj artysta nigdy sam niewystępuje w swoim dziele jako jeden z walczących, niech jego dzieło nigdy niebędzie bronią zaczepną lub odporną przeciw nieprzyjacielowi, którego w swoim dziele także jako walczącego wprowadza.

Artysta powinien być władzcą swego przedmiotu, niedać się nigdy przezeń owładnąć; artysta *tendencyjny* zaś zawsze jest owładniony, opanowany przez jakieś zasady i dążenia leżące za obrębem sztuki.

W naszej literaturze, również jak w cudzoziemskiej przez jakiś czas, panowała szkoła dążności politycznych lub towarzyskich. Nawet piękne utwory artystyczne, powieści, poezje liryczne, dramata, wszystkie były albo demokratyczne albo arystokratyczne bomby. Mieliśmy nawet rysy dziejów literatury, czasopisma literackie, pisane z pewnych politycznych stanowisk.

Ten zwrót piśmiennictwa wpłynął i na gust publiczności, tak dalece, że podziśdzień sądzimy zwykle o utworach literatury artystycznéj (t. j. o powieściach, liryce, dramatyce) stosownie do zdania politycznego, jakie panuje w życiu publiczném. Szukamy we wszystkich takowych dziełach ducha albo arystokratycznego, albo demokratycznego albo też nawet socjalistycznego (!).

Jeżeli autor popełnił rzeczywiście ten błąd, że jego dzieło jest tendencyjne — wtedy jestto woda na młyn naszej powszedniej krytyki.

Jeżeli zaś autor wystąpił bezwzględnie, tak iż te zasady których w jego dziele szukamy, znajdują się w prawdzie: ale niemożna dopatrzyć której on więcej sprzyjał, wtedy powszednia krytyka sądzi o dziele albo podług uprzedzenia, albo podług przekonania jakie powzięła — nie o dziele — ale o autora osobie.

Tak jeżeli się pojawi, dajmy nato, powieść lub wiersze jakiego autora którego mają za demokratę— sądzą podług tego przesądu lub przekonania, że dzieło musi być wymierzone przeciw arystokracyi— chociażby się autorowi nawet i nie śniło o tem: i przeciwnie. Szukają w każdem niewinném wyrażeniu, porównaniu, obrazku, jakichś alluzji, przycinków, i w miarę swojego wyznania wiary politycznej ganią albo chwalą dzieło.

Jakto zwichnienie zdania estetycznego u nas jest skutkiem mylnego kierunku, który przez jakiś czas artystyczne piśmiennictwo u nas miało: tak teraz powinni sobie poeci, powieściarze i w ogóle literaci zadanie założyć, aby ów zwichniony zwrót opinii estetycznej sprostować.

A zatem zarzucić wszelkie piśmiennictwo dażnościwe.

Ztąd nie wynika, abyśmy niemieli czerpać natchnienia z wielkich bolów naszego narodu, z walki, zwycięztwa i upadku stronnictw w życiu polityczném: tylko abyśmy z utworów pięknego piśmiennictwa nie czynili taranów zdobywczych, lub wałów obronnych dla stronnictw politycznych.

Niech się poezja nie zniża do polityki, bo to jest jej tak niegodne, jak niegodne jest publicystyki przywdziewać koturn, i z poezjiném patos wstępywać na widownię życia politycznego.

USTĘP Z POWIEŚCI

„KOLEJE ŻYCIA“,

z części pierwszej pod tytułem:

STUDENCI.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy ja wstawałem przed świtem, by wyjść na polowanie, Józio choć nie spał, zostawał w łóżku. Słońce wkradając się przez małe okno do

naszego pokoiku, kiedy ozłociwszy kolejno, powałę z belków grubych ułożoną i piec duży występujący jak oględny i rządny gospodarz na środek izby prawie, — zaczynało ścieléć mu różowozłocistą powłokę po łóżku aż do twarzy — wtedy dopiero wstawał Józio, uważając aż tę bezpośrednią pobudkę za hasło do wstawania.

Ja tymczasem już dawno chodziłem po zielonym, srebrzysto zasianym łąki dywanie, strącając za każdym krokiem diamentowo-szkliste perełki rosy, a w każdéj z nich wyobrażał się cały błękit niebios, od wschodu pokrywający się purpurą zorzy porannéj, a od zachodu zsuwający z siebie ciemną nocy osłonę. Zaszedłem w las; — po miękko zaścielonéj ziemi szedłem ja maluczki wśród ogromu drzew, jak do świątyni z niezliczonych kolosalnych zbudowanéj słupów, a świegot niezliczonych ptaków, okrzyki zwierza wychodzącego na żer, i szeptanie drzew były dla mnie jak witające głosy dawnych znajomych; i promyk wschodzącego słońca przemykający się pomiędzy gąszcz krzaków, był jak ukradkowe spojrzenie kochanki, witającéj mię radośnie po długiém niewidzeniu — witającéj milczkiem, nierzekąc słówka, tylko błyśnięciem miłością jaśniejącego oka. — Po chwili ucichł przedświtowy wietrzyk, umilkły szepty drzew, ptaszęta spokojnie żérowały, tylko niekiedy słychać było kwilenie młodéj ptaszyny w gnieździe przyjmującéj od matki pożywienie: a wtedy inny głos z dawna znajomy obił się o moje ucho; było to nieśmiałe bełkotanie źródełka o podal płynącego: pobiegłem tam, a ujrzawszy w zwierciedle czystego zdroju swój obraz, uradowałem się, jakbym ujrzał dawnego znajomego i byłbym się rad rzucił w wodę, by powitać, uściskać, ucałować — mój własny cień. Ale otóż nade mną skrzyknął ptak jakiś — nuż za fuzyę, celuj, strzelaj, i z obwisłym skrzydłem spadła skrwawiona ptaszyna na ziemię krzycząc żałośnie i jęła się trzepotać konając. Podjąłem ją, młode ptasze, jeszcze puch na szyi, wydało ostatnie tchnienia w mém ręku, a nademną nowy krzyk żałośny, jakby drugiego postrzelonego ptaka. — Spojrzałem w górę, to samica stara, niepostrzelona siedziała na gałęzi i krzyczała patrząc na ofiarę mojéj dzikości; żal mi się zrobiło, nie chciałem strzelać do niéj, odszedłem: ale ona za mną poleciała i w drugiém miejscu usiadła krzycząc nademną. I w trzecie i wczwarte miejsce przeniosła się za mną, zawsze się żaląc. Zniecierpliwiło mię to — chciałem ją odstraszyć i strzeliłem ślepym nabojem, ale ona wzleciała tylko aby siąść na inną gałąź, jeszcze niżej, i daléj krzyczeć. Zacząłem na nowo nabijać, mierzyć do niéj, zachodzić to z téj, to z owéj strony, ona umilkła, ale nieuciekała jak zwykle ptaki przed człowiekiem, tylko zdawała się czekać — nareszcie strzeliłem, wydała jęk głuchy i padła u stóp moich bez życia.

Znać chciała śmierci, bo dla niéj, matki, niebyło już bez dziecka pociechy.

Czy myślicie że ptaki czucia niemają? —

Poszedłem smutny do domu, rzuciłem w kąt strzelbę i niechodziłem więcej na polowanie — przez . . . całe jedne wakacyje. A potem? — Potem już niepolowałem nigdy na ptaszki w lesie, tylko na kaczki, bekasy i grubą zwierzynę.

Odtąd uciekłem od dzikiéj przyrody między cywilizowanych ludzi, i miałem sposobność widzić co Józio robił.

„Jakiż ten Józio zgrabny, jaki miluchny, jaki dowcipny a jaki schludny, a stateczny, a jak on wiele rzeczy umie“. . . .

Takie pochwały obijały się ciągle o moje uszy, a z innej strony znowu mnie spotykały tylko przymówki:

„Ach Władziu, jakiż ty niezgrabny, nadeptałeś mi na suknię i oberwałeś ją!“

„Dla Boga Władziu! splamiłeś mi robotę w krosienkach, któż widział kłaść tam chléb z masłem.“

„Jaki pan Ladzio niegrzeszny, fi done, któż widział takie rzeszy gadal,“ odezwała się Francuzka.

„Nie opieraj się na łokciach, nie stukaj tak nogami, nauczże się chodzić, umyj sobie ręce, czego się dotkniesz to zbruczesz“ i. t. p.

Tak mnie ciągle ganiono, ale właśnie nikt się mną nie zajął, aby mnie nauczyć co mam robić. Józia ciągle chwalono; ja zaś choć uznawałem słuszność czynionych mi wyrzutów, choć nieraz sobie myślałem: co to jest, że ze mnie taki gbur? wytłumaczyłem sobie nareszcie tę rzecz bardzo zadowalniająco, słyszawszy bowiem nieraz jak ojciec mawiał:

„Ten chłopiec z całkiem innego ciasta zrobiony“

Pomyślałem sobie, żem ja stworzony na gbura a Józio na grzecznego chłopca.

Zacząłem odtąd wysiadywać najwięcej w ogrodzie, w stajni a w dżdżyste dnie w piekarni, bawiłem się batogami, rozmawiałem ze stajennemi, z ogrodnikami, z pokojowemi, sługami i kuchtami, a nareszcie z ekonomem, leśniczym, pisarzem gorzelnianym —którzy wszyscy upatrywali we mnie wielki rozum, dobre serce i skarbili sobie pochlebstwami zawczasu łaskę przyszłego pana.

Do pokoju przychodziłem tylko na śniadanie, na obiad, na podwieczorek i na kolację: rodzice cały dzień też o mnie się niezapytywali, tylko jezeli mnie brakło przy której z tych funkcji domowych.

Chciałem w prawdzie uczyć się po francuzku od panny de la Laiterie, ale że do lekcyi zwykle przychodziłem ze stajni, więc panna de la Laiterie zawołała zatykając chustką nos:

„Fi! jak Ladzio czuć, jakby jaki cocher.“

Wtedy zwykle mnie wypędzano z pokoju abym poszedł przebrać się, ja zaś szedłem znowu do stajni i nie wracałem więcej.

Z tego koła też obrało sobie serce moje towarzyszy zabaw i przyjaciół zamiast coby mi Józio miał być takowym.

Do takich towarzyszy bardzo ulubionych należał Staszek przeznaczony do mojej usługi wyłącznie, i Jaś, syn ekonoma. Obadwa te chłopcy jakkolwiek dość ze mną poufali, mieli wszelako dla mnie pewien rodzaj uszanowania. Staszek jako służący dobrze to czuł i miał to więcej przytomnym w swoim umyśle, niż ja sam: że ja byłem przyszłem dziedzicem i panem. Gdyby nie to, że będąc moim służącym także „na stancji“ miewał aż nadto często sposobność widzieć, jak pan Drypuszyński uczynkowo szarpał się na świętość mojej powagi, to niezawodnie Staszek byłby już teraz — zupełnie idąc za przykładem starszych, tą samą uniżoność względem mnie zachowywał, jaką tamci okazywali memu ojcu. Ale ja nieraz tak dalece musiałem się poniżać w mojej pańskości, żem się zdawał nieraz na dyskrecję Staszka. Bo często zbroiwszy coś, prosiłem Staszka aby to zamilczał przed panem Drypuszyńskim, lub cale, ażeby brał winę na siebie. On też to czynił z wielką nieraz ochotą, uznając w swojej skromności za rzecz naturalną, że pańska skóra powinna być szanowana, a jego chłopska już stworzona dla batów.

Ja wtém zdaniu bardzo często Staszka popierałem a mój ojciec mnie popierał. Dowiedziawszy się raz bowiem, jak ja się czasem Staszkiem zastępuję, niezmiernie się śmiał z tego, a chociaż mi w oczy powiedział, że nie pozwoli więcej Staszkowi aby mi usługiwał „na stancji“, to jednak po wakacjach każdych zawsze na nowo Staszka ze mną wysyłano; a matka zawsze albo mu wetknęła parę półtalarków w rękę, albo inny jaki podarunek „aby paniczowi niedał krzywdy robić“. —

Jasio, syn ekonoma, miał wielką bojaźń przed siłą, wielkie poważanie dla mądrości, nareszcie wielką miłość dla dobrego serca swojego ojca. Ojciec był dla niego najwyższą powagą, a on stawiał się na równi z wszystkiemi podrzędnemi swego ojca. Tych zaś, ktorych ojciec jego poważał, i ktorym okazywał uszanowanie, uważał Jasio niemal za pewień rodzaj wyższych istot. Tak też i mnie uważał Jasio, bo jego ojciec mnie wielce szanował i nadskakiwał.

(Ciąg dalszy w późniejszych numerach nastąpi.)

Zemfiryna.

PIEŚŃ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Zemfircia ma matkę, i ciocię w rozkwicie,
I sama już krótką zrzuciła sukienkę,
Skończyła nauki — zupełnie — wy wiecie
Co uczą — jak uczą młodziutką panienkę.—
Grać, tańczyć, szczebiotać jak ptasze o świcie,
I śpiewać; — lecz żadną ojczystą piosenkę—
Choć mamy ich wiele — Zemfircia nie nuci,
A Normę, — Roberta, coś z Lindy i Lucii. —

XIII.

Zemfircia języki wybornie posiada —
Madame de Flondrovil — paryzka dziewica,
Dziś bona mej panny — jak sroczka wciąż gada.—
To dobre dla wprawy — skorzysta dziewica! —
Szczególnie że Madame lingwistka nie lada!...
Czy chcecie ją poznać?— podobna do szpica,
Przyprawne ma loki i zęby na przodzie,
A zresztą przyjemna — i wcale jest w modzie!—

XIV.

Więc macie przed sobą przyjemny dom cały,
I mamę, i ciocię — i madame wymowną —
Ogólnie mówiłem — lecz panie poznały
Mej miłej Zemfirci rodzinę szanowną.—
Mówiłem dość szczerze — choć wieczne pochwały
To moja choroba; — lecz rzeczą stosowną
Uważam, odsłonić najlepsze zalety
Inaczej nie będzie poezyi — niestety!

XV.

Zemfircia marzyła; — jak maju poranek,—
Kwiecisty jak łąka świat marzeń uroczy;
W marzeniu u nóg jej klęczący kochanek,
I wzdycha miłośnie, i patrzy jej w oczy....
I szepce: „kochanko“— ot, splata we wianek
Mirt wonny, zieloną ozdobę warkoczy —
Ot, mówi: — „kochanko, mój luby aniele,
O prędkoż dzień szczęścia? o prędkoż wesele?!“

XVI.

I cała spłoniona, jak róża o wiośnie,
Ze drzeniem zachwytu, ze łzawém spojrzeniem,
I ona westchnęła, marząco, miłośnie,
A oczy urocze wionęły płomieniem —
Tak czule się patrzy, wymownie, radośnie
Tak serce jej bije — i takiem westchnieniem
Pierś miota się młoda — że Ami uspiony
Zawyrczał — zaszczekał — i uciekł spłoszony.

XVII.

Zemfircia znów marzy — w marzeniu kwiecistém
Dzień ślubu — Pan młody — grzmi huczna kapela—
Śród woni i dzwięków we świetle rzęsistém
Znow tańczy znim — lubym aniołem wesela....
A dalej świat marzeń w obłoku już mglistém...
(Coś niby alkowa w baladzie Kornela)...
Raj cały! — o błogie być musi marzenie!
Bo pierś tak faluje — płomienne westchnienie!

XVIII.

Marzenia! Marzenia! o ileż słodyczy
W tych kształtach powiewnych, w tém senném rojeniu—
I ja tak marzyłem — półuśmiech dziewiczy—
Spojrzenie, a słowko — i pierś już w płomieniu,
I marzy się niebo! — Dziś świat ten zwodniczy
Na jawie się rozwiał — i rozwiał w marzeniu....
Ja w nic już nie wierzę, o niczém już nie śnię
Na jawie, w marzeniu zdradzony zawcześnie.

XIX.

Choć przyznam się, jeszcze w samotne godziny
Świat wspomnień i marzeń na chwilę owionie;
W marzeniu, wspomnieniu obrazek jedynéj
Przed duszy oczyma — i serce drzy w łonie....
Oh ciężka pokuta — o wielkież bo winy!
Spowiadam się grzeszny — i oko me tonie
W potokach łez rzewnych — poprawa gotowa!
Nie ujrzy mię pyszny zamek.....!!

XX.

Największy marzyciel, w największym zapale
Nie stworzy tych światów co dziéwcze marzące,
Tam myśli jak burze, jak wichry, jak fale,
Jak wiosna przyjemne, jak lato gorące—
Kwieciste, stubarwne, — to tęczy opale,
Jak noc tajemnicze, to jasne jak słońce.....
O, dużoby mówić i pisać by siła,
Co moja Zemfircia śród ciszy marzyła.—

XXI.

Zostawmy marzącą — jej lepiej gdy sama.—
A teraz na salon — „Czytelnik kochany!—
— To Ciocia Gertruda!— to Madame! — to mama!—
Znajomcie się państwo“ — ja dobrze tu znany...
Gertruda wspaniała — jak Wisznu, lub Brama,
Ze wdziękiem sznurując swój uśmiech różany.
Tak zdanie swe skromnie, i mile przedkłada:
(Bo właśnie w tej chwili rodzinna narada.—)

XXII.

„Mąż ciebie szpieguje — wciąż łazi jak mara,
Na Pana Oswalda już patrzy ukośnie;
Więc Oswald niech uda że o mnie się stara—
No o mnie — nie jeszcze! — lecz córka ci rośnie,
Więc o nią; — mąż powie — ha, byłaby para
I Argus zbudzony zachrapie donośnie.—
Świat także zwiedziemy — — — —
— — — — — — — —

XXIII.

„Wybornie! wybornie! ty geniusz prawdziwy! —
Już marzę o szczęściu i serce mi pała —
Ja będę szczęśliwa — i mąż mój szczęśliwy!!!
Zemfircia!?— nuż jeszcze zakocha się mała —
Bo Oswald tak piękny, tak czuły i tkliwy!
O, niechcę by ona Oswalda kochała —
Lecz mąż ten — nie, ona tak młoda — to dziecię....
No róbcie jak chcecie — wy dobrze zrobicie!—

XXIV.

Dobranoc tym paniom!— tu sprawa nieszczera!
A ważna — Gertruda ma minkę tak rzewną —
Ciekawa, bo Madame usteczka otwiera —
A Mama udaje pobożną, to gniewną....
Odwiédźmy Oswalda — w hotelu Dreznera
Pod numerem.... — nieprzyjął!— zapewne
Bydź musi zajęty — lecz pora spóźniona:
Tém lepiej! — tém lepiej! — pieśń pierwsza skończona.

Franciszek Smolka.

Do ważnych zjawisk w najnowszych dziejach należy i będzie zawsze należał prezydent sejmu rzeszy Austryackiéj przez cały prawie ostatni czas trwania onegoż, zacząwszy od Października r. 1848; (bo tylko przez jeden miesiąc nie był nim w Kromieżyrzu.)

Pomijamy tu dzieje działania jego przez ten czas i udział w zdarzeniach, które zbyt blisko jeszcze w pamięci stoją aby je powtarzać, a zbyt mocne na nas uczyniły wrażenie, abyśmy o nich z bezstronnością i spokojem jakiego wymaga obrobienie dziejowe, mówić mogli.

Tyle niech nam wolno będzie powtórzyć za współdziałaczami Smolki i za naocznemi świadkami, że godność jaką sejm w obec dwóch nieprzyjaźnie naprzeciw siebie stojących ostatecznych stronnictw okazał, po największéj części roztropnemu działaniu Smolki przypisać należy.

Nie mniejszą zasługą jego jest i to, że sejm umiał zachować środek między dwiema ostatecznościami, w sposób znamionujący nie słabość charakteru i niepewność w którą stronę się zwrócić, ale przeciwnie stałe i niezmienne zasady a oraz niezachwiane przekonanie, że na drodze, którą idzie jest słuszność i sprawiedliwość.

Ta okoliczność, że wybór na prezydenta padł na Smolkę w Październiku, świadczy o wielkiém zaufaniu w jego prawość charakteru, jaką sobie umiał zjednać w owém najtrudniejszém położeniu, kiedy we wszystkich stronnictwach panowało jak największe gorączkowe rozdrażnienie.

Człowiek który w chwili burzy i walki zwrócił na siebie ufające oko wszystkich, tak nieprzyjaciół swoich jak i stronników, musi niezawodnie stać na niepospolitéj wysokości moralnéj.

Że ten wybór był dowodem zaufania nie zaś demonstracyą przeważającego w ówczas stronnictwa, jak to płytkiemu i namiętnemu zdaniu niektórych twierdzić się podobało: to okazuje się ztąd, że w Kromieżyrzu, gdzie niezaprzecznie przeciwne stronnictwo przeważało, wybór padł także na S m o l k ę.

S m o l k a nie zmieniał nigdy swego zdania politycznego, które go łączyło ze stronnictwem lewicy w sejmie, chociaż jako prezydujący przestawał być stronnikiem tego lub owego zdania w swojém urzędowaniu, i nie utracił nigdy spokoju duszy, téj silnéj tarczy w kierownictwie polityczném. Nie zasłużył sobie niczém na nienawiść swoich politycznych przeciwników, a u wszystkich pozyskał poważanie.

Nie wspominamy o innych zaletach lub zdolnościach S m o l k i, bo nie miał dość pola do rozwinięcia ich, a zatém zbyt mało go z téj strony znamy.

Jednak to nam niech wolno będzie powiedzieć, że kraj nasz może być dumny na to, iż w S m o l c e pozyskał osobę europejską i historyczną.

Kiedyś dziejopisarz naszego czasu nie będzie go mógł bezkarnie przemilczyć; a jaki drugi Plutarch będzie mógł ciekawą paralelę pociągnąć między nim a p. G a g e r n, prezydentem sejmu rzeszy niemieckiéj, lub p. M a r a s t, prezydentem sejmu rpltéj francuzkiéj w r. 1848.

Dołączamy krótką wiadomość o życiu Smolki.

Franciszek Smolka, Syn Wincentego Smolki i Anny Nemethy urodził się 4. Listopada 1810 w Kałuszu, w obwodzie Stryjskim, nauki szkolne odbył na wszechnicy Lwowskiéj i w roku 1836 został Doktorem prawa, w roku 1840 mianowany Adwokatem i w témże samym roku ożenił się z Leokadią Becker.

W roku 1841 uwięziony, był oskarzonym o założenie i uczestnictwo w spiskach, których podstawą było odbudowanie Polski w dawnych jéj granicach na zasadach republikańskich. Po czteroletnim więzieniu indagacyjném skazanym został wraz z 51 innemi współuczestnikami na karę śmierci; wszelako przez amnestyę podtenczas udzieloną wszystkim skazanym otrzymał wolność i tylko posadę Adwokata i stopień Doktora praw utracił.

W roku 1848 wybrany jednomyślnie w okręgu wyborczym Lubaczowskim w obwodzie Żółkiewskim na Deputowanego do sejmu ustawodawczego w Wiedniu, odznaczył się treściwą i umiarkowaną mową na dniu 18. Sierpnia 1848 w przedmiocie zniesienia pańszczyzny, obraniając właścicieli ziemskich przeciw oczerniającym potwarzom — 21 Sierpnia 1848 mówił przeciw dozwoleniu pożyczki 20,000000 — nareszcie dnia 8. Stycznia 1849 oświadczył się za projektem najwolniejszym praw za-sadniczych, za niezawisłością jak najmożliwszą narodów Austryackich względnie do państwa.

Dnia 14. Września 1848 mianowany pierwszym wiceprezesem (podmarszałkiem) sejmu większością 228 głosów na 288 głosujących, objął po 6.^{m} Października, po zniknięciu marszałka sejmowego — krzesło marszałkowskie, 12^{go} Października większością 186 na 200 obrany marszałkiem sejmu i potwierdzony trzykrotnie na téj godności, a mianowicie 22. Listopada 1848 na nowém zebraniu się sejmu w Kromieżyrzu większością 151 na 255 — dnia 20. Stycznia 1849 większością 201 na 305, nakoniec 23. Lutego 1849 większością 298 na 312, — i piastował ją aż do rozwiązania sejmu na dniu 7. Marca 1849 nastąpionego.

Od onego czasu mieszka we Lwowie, otrzymawszy na powrót jeszcze 25. Sierpnia 1848 posadę Adwokata i godność Doktora praw.

Śmierć Kopernika.

I.

Było to pięknej nocy majowej, roku 1543. Na sklepieniach lazurowych iskrzyły się gwiazdy jak dyamenty na aksamitnej pościołce. Wcałej przyrodzie panowała tak głę-

boka cisza, że zdawało się iż słychać ruch gwiazd po niebie, rośnienie drzew, i szeptanie wietrzyka z kwiatami.

We Warmii, małém miasteczku Prus polskich, wszystko co żyło, już snem twardym spoczywało; wszystko, wyjąwszy jednego człowieka. Człowiek ten czuwał w komnacie zbudowanej u szczytu wieży, której nie mnogie sprzęty składały się ze stołu, książek i lampy blaszanej.

Był to starzec siedmdziesiątletni, pochylony i złamany pracą; a jednak w oku jego błyszczała geniuszu jasność. Na twarzy jego wspaniałej i ładnej malowały się słodycz i zamyślenie. Oczy jego nie spoczęły na niczém ziemskiem, lecz na przemiany rozwierały się lub przymykały, by wejrzeć na niebo lub w siebie samego. Na jagodach ubarwionych rumieńcem jaśniał spokój czystego sumienia. Siwe lecz gęsty włosy rozdzielone na czole spadały w kędziorach aż na ramiona. Miał na sobie strój kościelny, jaki w owe czasy w tym kraju noszono: suknię pojedyńczą z wyłożonym kołnierzem, i z podwojnemi rękawami rownież przy ręce wykładanemi.

Starcem tym był największy po wszystkie czasy astronom, Mikołaj Kopernik, urodzony w Polsce — w Toruniu dnia 19go lutego r. 1473. — doktor filozofii i medycyny, kanonik Warmijski, profesor honorowy w Bolonii, w Rzymie i indziej.

Stając u kresu zawodu swego, a zarazem dotarłszy do krańców umiejętności — Kopernik ukończył właśnie zdumiewające dzieło swe: *De revolutionibus orbium coelestium* — *o ruchach ciał niebieskich*. Pewien pisarz o nim wyraża się w sposób następny:

„Uniesiony szlachetnym zapałem astronomii, targnął się na całego Atlasa niewzruszonego, jak go sobie wyobrazili starzy; pochwycił naszą kulę ziemską, i cisnął nią daleko od środka świata, gdzie powstrzymane umieścił słońce; a wkoło tegoż poszły w ruch za myślą jego planety *Merkury, Wenera, Mars, Jowisz, Saturn* i inne.“ Jedném słowem Kopernik objawił ziemi całe niebiosa, a uczynił to wszystko śród ubóstwa, śród szyderstw i prześladowań, sam tylko z cichym geniuszem swoim, bez żadnych narzędzi wyjąwszy trójkąt drewiany. *)

Właśnie dnia tego kanonik Warmijski otrzymał był ostatnią poprawkę dzieła swego, które uczeń jego Retikus kazał wytłaczać w Norymberdze; a przed odesłaniem téj poprawki roztrzygającéj, chciał jeszcze po raz ostatni sprawdzić całość swoich spostrzeżeń. Bóg jak gdyby umyślnie dla niego — użyczył na to nocy dziwnie pogodnéj, którą też Kopernik całką w swém obserwatoryum spędził.

*) Astronom Tyho-Brahe przechował nam rysunek tego narzędzia tylu cudów. Trudno pojąć, jak trójkąt tak niemisternie sklecony, o ruchach tak nieregularnych — mógł zastąpić w ręku wielkiego człowieka te bez-mylne teleskopy, które wynaleziono po nim, a które posłużyły tylko do zatwierdzenia postrzeżeń jego.

II.

Kiedy na wschodniém niebie gwiazdy blednąć poczęły, astronom nasz wziąwszy swój z trzech kawałków drewna złożony instrument różnicowy (**parallaxis**), który sobie sam własną ręką sporządził, zmierzył go ku każdéj z cztérech stron świata. Wreszcie w niezachwianém przekonaniu, że zniszczył błąd lat pięciu tysięcy, i że objawi światu prawdę wiekuistą, padł na kolana przed księgą niebios, napisaną głoskami ognistemi, złożył swe ręce wychudłe na piersiach, i dziękował Stwórcy, że mu objawił prawdę nieskończonych dzieł swoich.

Przystąpił potém do stołu, a ująwszy pióro napisał nad tytułem swéj księgi:

OTO DZIEŁO NAJWIĘKSZEGO I NAJDOSKONALSZEGO TWORCY; OTO DZIEŁO BOGA.

Po chwili uspokojenia i namysłu napisał dedykacyą dzieła swego:

OJCU ŚWIĘTEMU, PAPIEŻOWI PAWŁOWI III.

„Dzieło moje poświęcam Tobie Ojcze święty, ku prze-„konaniu wszystkim — uczonym i nieuczonym, że nie „unikam sądu i rozbioru. Powaga Twoja i zamiłowanie „dla wszech umiejętności, a osobliwie też dla umiejętności „ścisłych — będą mi puklerzem przeciw złośliwym i złej „woli oszczercom, i zasłonią mię przed nimi wbrew „przysłowia, co mówi, że nie ma leku przeciw ukąszeniom oszczercy.”

Mikołaj Kopernik z Torunia.

Niebawem pierwsze promienie słońca zćmiły blask lampy gwiaździarza; oparł znużoną głowę na stole i usnął spracowany i wycieńczony. Objawiciel stworzenia odpoczął, jak odpoczął niegdyś i sam Stworzyciel. I czyż nie zasłużył na ten spoczynek sześćdziesięcią laty pracy i czuwania?

Lecz spokój ten nie trwał długo; przerwał go stary sługa, wchodzący ciężkiemi krokami po wschodach na wieżę. Dotknięciem po ramieniu zbudził swego kanonika i rzekł:

— Posłaniec z Norymbergii już do wyjazdu gotów; czeka tylko na poprawkę Waszą i na list od Was.

Kopernik złożył zwitek i opieczętował go swoją pieczęcią, a znużony całonocném czuwaniem padł znowu w krzesło.

— To jeszcze nie wszystko — począł znowu sługa budząc go na nowo, tam w domu czekają na Was dziesięciu chorych; a potém przysłano po Was z Frauenburgu, bo machina wodna stanęła, a i trzech robotników, co ją naprawić chciało, połamało sobie kości.

— Nieszczęśliwi! osiodłać mi konia; zawołał Kopernik.

I przemagając senność, co go tłoczyła, zeszedł czempredzéj z wieży.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Grudzień 1849.

(Dokończenie.)

Sztuka ta niebardzo bogata w wypadki dramatyczne, dla pięknych zdań a więcej jeszcze dla dążności którą przeprowadza, wzbudza zajęcie widzów; podobała się też naszej publiczności, jednakże niewzbudziła tego zapału co w Niemczech, gdzie dążności religijne więcej rozbudzone jak u nas. Co do wartości artystycznej, zganiłbym tę sztukę jak wszystkie tak zwane tendencyjne, którym zazwyczaj barkuje potrzebnej dla sztuki wszechstronności, dokładności a nadewszystko tworczości. Rozypatrzywszy się bliżej w tej sztuce nie można w niej dostrzedz organicznej całości wktórejby wypadki jedne zdrugich jakoteż z charakterów działających osób wypływały, lecz widzieć wniej moralne sklejanie tragicznego zawiązania. Mimo to jednak sztuka ta zaledwie nazwę tragedyi mieć może; tragiczność albowiem natem zawisła, jeżeli bohater piastujący jakąś ideę we walce za nią upada, lecz idea właśnie przez jego upadek tém świetniej jaśnieje i zwycięstwo odnosi. Tutaj zaś Uriel nie umiera za prawdę którą wyznawał, nawet niema odwagi cierpieć za nią. Prawda tutaj nie jaśnieje zwycięsko. Czując to autor chciał naśladować Goetego w Egmoncie i wprowadza przed Uriela śmiercią, jego ucznia, młodego Spinozę (p. Szuszkiewicz) co jednak niesprawia pożądanego skutku, albowiem niekażdy z widzów wie o tem że Spinoza był kamieniem węgielnym filozofii, że on w swoich dziełach odsłaniał prawdziwą wiedzę i moralność, to nieobjawia się w jego roli, więc scena ze Spinozą nudzi widzów i niedaje tej pociechy, że ziarno rzucone przez Uriela przyjmuje się i rozrasta.

Sens moralny tej sztuki dwuznaczny, możnaby z niej wyciągnąć przestrogę: kto przeciwko instytucjom wiekami uświeconym powstaje, ten sam siebie gubi. Wolimy jednak czerpać naukę ze słów Uriela:

„Kto sam siebie raz zaprzeczył,
Kto się zhańbił raz bez miary,
Niechaj tworzy chleb z kamienia,
Niechaj wodę w wino zmienia —
Już nieznajdzie nigdzie wiary.“

Charaktery niedokładnie oznaczone, szczególny brak dokładności w charakterach Ben Johaja i Mannassego, ojca Judyty.— Uriel tak namiętny człowiek - dla Judyty tak zimnym się wydaje, mowi jej wszakże: „Nam namiętność nieprzystoi“ na końcu dopiero rozpacza, kiedy ją widzi z Ben Johajem zaślubioną. Równie niezrozumiały charakter Judyty: ta wzniosła uczennica Uriela która go tak namiętnie kocha, właśnie wtenczas kiedy on jej przekonanie swoje niesie w ofierze, oddaje rękę Ben Johajowi którym pogardza. Nietłumaczy ją wcale, że chciała przezto majątek ojca ratować, kiedy mu, trując się, droższe nad majątek życie swoje odbiera.— Najprawdziwiej skreślił autor charaktery Rabinów: Ben Akiba (p. Ładnowski) staruszek gaduła, sam w to wierzy co naucza, gorliwy jest o wiarę, bo ją ma za świętą i nieomylną jako objawioną; przeciwnie Santos (p. Pfeiffer) broni wiary nie z przekonania, ale używa ją jako środek do zapewnienia sobie i swojej kaście panowania nad sumieniem łatwowiernych.

Sztuki tej przedstawienie było doskonałe co do urządzenia scenicznego; wielkie wrażenie robiła klątwa a potem psalm w synagodze śpiewany podczas monologu Uriela. — Role bardzo dobrze rozdane były, i wszyscy też aktorowie bardzo dobrze grali, ale szczególniej gra p. Smochowskiego i pani Aszperger zachwycała.

Aby grę pana Smochowskiego krytykować, trzebaby całego dzieła nato, tyle piękności i prawdy w każdym jego ruchu. W Urielu nietylko przejął się zupełnie swoją rolą, ale nadto podniósł charakter Uriela; zdało się widzom, że mają przed sobą rzeczywistego kapłana prawdy. Najwięcej podziwienia wzbudziła gra jego w scenie, kiedy po odwołaniu wraca do synagogi i woła: «Rozwiń się w słowo myśli gnieciona“ wtenczas jakaś nadludzka siła w niego wstępuje, pierś jego zdaje się być wzburzoném morzem, wzrok błyskawicą a słowo gromem. Albo w scenie kiedy do zgasłej Judyty mówi: „Do zobaczenia, rzekłaś mi kochanko«; ileż to żalu i goryczy wtenczas w jego głosie a przecież taka spokojność jakby znużony walką już doszedł do zamierzonego kresu. Równie pani Aszperger po mistrzowsku grała; jaka prawda jej gry w najdrobniejszych szczegółach widzieć to w scenie, kiedy kubek z wodą w ręku sługi postrzega, wstrząsa się cała na jego widok, bo ten kubek do śmierci ją przyprowadził. Z nadzwyczajnym wdziękiem oddała tę scenę, kiedy konając ślubny wieniec Urielowi daje: «*Weź go jedyny, on tobie należy*».

C***

Zamiarem naszym było wydawanie Tygodnika Lwowskiego rozpocząć z pierwszą sobotą roku 1850; lecz dla przyczyn poza obrębem redakcyi leżących nastąpiło opóźnienie dwutygodniowe. Sądzimy jednak, iż najlepiéj wywiążemy się z zaciągniętego obowiązku — wydając jednocześnie wszystkie numera za czas od początku roku upłyniony, aby odtąd tygodnik bez przerwy co soboty mógł wychodzić.

Lwów, dnia 19 Stycznia 1850.

Od Redakcyi.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **J. B. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.